

## TARNÓW

---

Pociąg do Tarnowa włókł się i przystawał na każdej stacyjce, co wzma- gało niepokój moich rodziców, bo obawiali się, że mogą wejść jacyś niebezpieczni dla nas ludzie. Ja byłem bardzo zmęczony i śpiący, ale i moje nerwy były napięte, nie mogłem zmrużyć oka. Nawet Luśka, którą całą noc noszono na rękach, teraz siedziała grzecznie koło mamy i nie marudziła jak zwykle. Cały czas patrzyła na nią swoimi dużymi niebieskimi oczami, jakby chciała wyczytać z jej twarzy, co się z nami stanie. Wydawało mi się, że widzę w jej oczach strach, ale może był to tylko mój własny strach, bo nie sędzę, żeby Luśka rozumiała, w jakim jesteśmy niebezpieczeństwie.

Byliśmy sami w przedziale. Na jakiejś małej stacyjce weszło do naszego wagonu kilka osób. Rodzice zaczęli mówić po niemiecku. Rozmawiali ze sobą głośno, udając, że o coś się sprzecniają. Jakaś pani otworzyła drzwi naszego przedziału i chciała wejść, ale słysząc niemiecką mowę, zasunęła je z powrotem i poszła dalej. Chwilę później powtórzyło się to z jakimś starszym panem. Pociąg znowu ruszył, ale moi rodzice nie przerywali rozmowy.

Nagle zauważyłem, że pod ławką, tuż koło drzwi, coś zabłyszczało. Pochyliłem się i podniosłem małą, okrągłą odznakę hitlerowską z czarnym hakenkreuzem na czerwonym tle, jaką Niemcy często nosili na cywilnych marynarkach. Wystawał z niej mały kawałek złamanej szpilki. Pokazałem ją ojcu. Mama była zdania, że trzeba to natychmiast wyrzucić, ale ojciec powiedział, że może nam pomóc w drodze do Tarnowa i nie zastanawiając się długo – wpiął ją sobie do klapy marynarki.

Pierwszy zobaczył ją konduktor. Sprawdził nasze bilety i z wielkim uszanowaniem zasalutował ojcu. Na jakiejś większej stacji wszedł do po-

ciągu dużo ludzi i nasz przedział się zappełnił. Współpasażerowie, gdy tylko usłyszeli rozmowę po niemiecku i zobaczyli odznakę mego ojca, przestali ze sobą rozmawiać. Wydawało mi się nawet, że niektóre twarze były zatrwożone. Patrzyłem przez okno, aby nie zdradzić się, że ich obserwuję.

Zapowiadał się znowu jeden z tych pięknych dni, jakich wiele było w sierpniu 1942. Normalnie o tej porze czekałbym już na spotkanie z moimi przyjaciółmi albo z Francis. Gdzie oni teraz są? Zacząłem o nich myśleć i wspominać to, co jeszcze kilka dni temu razem z nimi przeżywałem. Wszystko wydawało mi się teraz takie dalekie, jakby już lata przeszły, a to były przecież tylko dni.

Nagle minęło poczucie otaczającego mnie niebezpieczeństwa i ogarnęła mnie jakaś dziwna, przyjemna błogość. Może to było tylko zmęczenie i wspomnienia... Zamknąłem oczy i zaraz zasnąłem. Nie pamiętam, co mi się śniło, ale musiało to być coś bardzo miłego, bo mama mówiła mi później, że cały czas uśmiechałem się przez sen. Nie wiem, jak długo spałem, ale nagle poczułem delikatną rękę na ramieniu i usłyszałem jej słowa: „*Wir sind angekommen*” [Przyjechaliśmy].

Wysiedliśmy razem z innymi. Stacja w Tarnowie była pełna ludzi, bo przyjechały równocześnie dwa pociągi. Ludzie wsiadali i wysiadali. Jedynie wyjście z peronów prowadziło przez budynek stacji i wszyscy nowo przybyli posuwali się w tym kierunku. Matka powiedziała cicho do ojca: „Wyrzuć już tę odznakę”, ale ojciec wskazał oczyma na szeroko otwarte drzwi, przez które trzeba było przejść. Stało tam dwóch żandarmów niemieckich i dwóch cywilów, którzy pilnie obserwowali przechodzących obok nich ludzi, kierując na bok tych z większym bagażem. Tam inni Niemcy ich sprawdzali i niektórych legitymowali. Stał tam też kolejarz, który odbierał bilety.

– Może wsiądziemy do innego pociągu? – spytała mama.

Nie można już było tego zrobić, bo ludzie pchali nas do przodu. Gdybyśmy nagle zawrócili, Niemcy niewątpliwie by to zauważyli.

– Nie ma rady – powiedział ojciec do mamy – mów po wiedeńsku.

Zacząłem w duchu odmawiać moją modlitwę *Szma Israel*. Powoli zbliżaliśmy się wraz z innymi do wyjścia. Ojciec nie zdjął odznaki z hakenkreuzem. Będąc kilka kroków przed żandarmami, mama głośno powiedziała do ojca:

– *Es ist eine unerhörte Geschichte, dass wir zusammen mit den allen polnischen Arbeitern fahren müssen!* [To niesłychana historia, że musimy jechać razem z tymi wszystkimi polskimi robotnikami!]

W jej głosie było wzburzenie i jakby pretensja do ojca. Zauważyłem, że obaj żandarmi uśmiechnęli się, wyraźnie rozbawieni słowami mamy. Tato odpowiedział jej uspokajającym tonem, ale na tyle głośno, aby żandarmi go słyszeli:

– *Es wird nicht lange dauern, die Gestapo hat mir einen Wagen zugesagt.* [To nie będzie długo trwało, Gestapo przyrzekło mi samochód.]

Rodzice doskonale się rozumieli i jak już grali, to na całego. Tym razem grali o życie nas wszystkich. Później sami byli zdumieni swoją odwagą. Oboje mówili, że było to coś zupełnie instynktownego.

Ich rozmowa zrobiła wrażenie na żandarmach, bo jeszcze bardziej się uśmiechali. Na dwóch cywilów bałem się patrzeć. Tato wręczył bilety kolejarzowi i chciał iść dalej, ale w tym momencie jeden z żandarmów pochylił się do Luśki i zapytał ją:

– *Wie heißt du, kleines Fräulein?* [Jak się nazywasz, mała panienko?]

Poczułem, że nogi uginają się pode mną z przerażenia. Luśka popatrzyła na niego i czystym niemieckim odpowiedziała mu jedno słowo: „*Fräulein*”. Żandarm zrozumiał to jako żart, zaśmiał się i powiedział z uznaniem w głosie: „*So klein und schon so witzig*” [Taka mała, a już taka dowcipna], zasalutował ojcu i wskazał ręką drogę. Dwóch cywilów podniosło ręce i powiedziało: „*Heil Hitler!*”. Mój ojciec też podniósł rękę, ale nic nie odpowiedział, udając, że jest zajęty Luśką.

Weszliśmy do poczekalni, a stamtąd, razem z innymi ludźmi, wyszliśmy na ulicę. Nagle zauważyłem, że moja prawa noga jest mokra. Posiusałem się ze strachu.

Wszyscy byliśmy zdumieni, że Luśka była w stanie tak odpowiedzieć żandarmowi. Miała pięć lat i nigdy nie powiedziała słowa po niemiecku. Moi rodzice rozmawiali wprawdzie czasami ze sobą w tym języku, ale wątpię, by Luśka coś z tego rozumiała. Widocznie bezwiednie powtórzyła ostatnie słowo żandarma. To, że wypowiedziała słowo „*Fräulein*” tak czysto po niemiecku, było chyba zupełnym przypadkiem i dziecięcą próbą naśladowania starszego człowieka.

Tak to sobie tłumaczyliśmy, ale o wiele później, bo wtedy nie mieliśmy czasu na zastanawianie się. Musieliśmy jak najszybciej dostać się do getta, bo po aryjskiej stronie, bez żadnych dokumentów, byliśmy cały czas w dużym niebezpieczeństwie. W każdej chwili mogliśmy być rozpoznani jako Żydzi i wydani Niemcom.

– Teraz możesz już wyrzucić tę odznakę – powiedziała mama do ojca.

– Może lepiej mieć ją aż do wejścia do getta? – zastanawiał się ojciec.

– Nie, ja się boję. Mam przeczucie, że będzie lepiej, jak ją zaraz wyrzucisz.

Ojciec odpiął odznakę i wrzucił ją do kosza na śmieci. Znał drogę i na początku wydawało nam się, że przejdziemy tylko kilka ulic i bez trudu dostaniemy się do getta. Na ulicach było dużo ludzi i nie widzieliśmy, aby ktoś zwracał na nas uwagę. Żadne z nas nie miało fizjonomii żydowskiej i szliśmy w tym samym tempie, co inni ludzie, starając się nie okazywać napięcia. Ojciec i mama rozmawiali ze sobą po polsku i uśmiechali się do siebie. Robili wrażenie małżeństwa, które wyszło z dziećmi na spacer.

Nagle usłyszeliśmy głos: „Chwileczkę” i przed nami stanął granatowy policjant. Był chudy, niewysoki, o bladej twarzy, na której igrał lekki uśmiech.

– Państwo na spacerze czy dokądś idziecie? – spytał grzecznie.

– Na spacerze – odpowiedział ojciec.

Uśmiech policjanta stał się lekko ironiczny, ale głos miał nadal grzeczny.

– Od kiedy to Żydzi spacerują po aryjskiej stronie?

Rodzice zrozumieli, że zostaliśmy rozpoznani i nie ma sensu udawać kogoś innego. Bez aryjskich dokumentów nie mieliśmy na to żadnej szansy. Ojciec mu odpowiedział:

– Niech pan nam pozwoli iść, bo mamy za sobą ciężkie dni. Pan Bóg panu odpłaci.

– Chętnie to zrobię, ale musicie się wykupić.

– Zrobilibyśmy to, ale nie mamy pieniędzy – odpowiedział ojciec bezradnie.

– W takim razie muszę zaprowadzić was na Gestapo, bo to mój obowiązek. Płacicie czy nie?

– Nie mamy pieniędzy – powtórzył ojciec.

– No to idziemy na Gestapo – odpowiedział stanowczym tonem policjant.

Nagle ojciec przypomniał sobie, że ma w Tarnowie przyjaciela, Fessla, i zaproponował policjantowi, że on nas wykupi.

– Fessel? Ten z papowni „Papapol”?

– Tak, chodźmy do „Papapolu”, może będę mógł dostać od niego jakieś pieniądze.

Policjant zgodził się i znów zmieniliśmy kierunek. Doszliśmy do fabryki Fessla. Policjant wszedł z nami do bramy jakiegoś domu, a ojciec poszedł do fabryki. Zacząłem w duchu prosić Boga, żeby pan Fessel tam jeszcze był, żeby miał pieniądze i chciał je ojcu dać.

Wszyscy czekaliśmy w milczeniu. Najbardziej nerwowo zachowywał się policjant. Zapalił papierosa i cały czas patrzył z napięciem na wejście do fabryki. Trwało to dość długo i dla mnie był to dobry znak. Nagle w bramie fabrycznej ukazał się ojciec i szybko się do nas zbliżył. Zadyszany, stanął przed policjantem i wręczył mu grubą kopertę. Policjant otworzył ją i palcami przejechał po pieniądzach.

– Dobra – powiedział – możecie iść sobie dalej.

Ojciec wyjął z kieszeni kilka banknotów.

– Dam panu jeszcze to, ale niech pan nas zaprowadzi do getta, bo może nas znów ktoś rozpoznać.

Policjant wziął pieniądze.

– Przysługa za przysługę. Chodźcie ze mną.

Po drodze ojciec zapytał go, w jaki sposób poznał, że jesteśmy Żydami. Policjant uśmiechnął się i powiedział, że to wcale nie było trudne. Obserwował nas już od stacji kolejowej i wszystko wskazywało na to, że jesteśmy Żydami.

– Co na przykład?

– Wszystko. Wy inaczej chodzicie, inaczej ze sobą rozmawiacie i w ogóle inaczej się zachowujecie. Wasze dzieci miały przestraszone twarze i ciągle oglądały się za siebie. Wy też spoglądaliście na boki, no a przede wszystkim – moja intuicja wyczuwa Żydkę na sto metrów.

Powiedział nam, że wprowadzi nas do getta bocznym wejściem, a nie przez główną bramę, bo tam jest niebezpiecznie. Przy głównej bramie przez całą dobę stoją i esesmani, i żydowscy policjanci, a przy bocznej

przeważnie tylko ci ostatni. Trzeba wejść do getta, gdy nie widać przy nim Niemców.

Przeszliśmy kilka ulic i zobaczyliśmy boczną bramę do getta, a koło niej budkę strażniczą. Stanęliśmy w bramie jakiegoś domu i zaczęliśmy obserwować to miejsce. Weszło i wyszło stamtąd kilka osób, ale nie było widać Niemców. Po jakimś czasie policjant powiedział: „Idziemy” i zaczął nas prowadzić do wejścia. Stał tam tylko jeden *Ordnungsdienst* (żydowski policjant) w policyjnej czapce z żółtym otokiem. Zbliżyliśmy się do niego i polski policjant powiedział mu, że mamy wejść do getta. W tym momencie otworzyło się okienko strażnicy i ukazała się w nim twarz esesmana. Wskazał na nas ręką i zapytał:

– *Wer sind die?* [Kim oni są?]

Nasz policjant wykazał się przytomnością umysłu i powiedział po polsku:

– Oni są przebadani i mają wejść do getta.

*Ordnungsdienst* przetłumaczył to Niemcowi i czekał na jego decyzję, ale Niemiec machnął tylko ręką.

– *Rein!* [Wejdźcie!]

Policjant odwrócił się i bez słowa nas opuścił. Po chwili znaleźliśmy się w getcie.

Okazało się, że ojciec otrzymał od pana Fessla adres jego przyjaciela w getcie, do którego mieliśmy się zgłosić z powołaniem się na niego. Ten przyjaciel nazywał się Eliahu Lehrhaupt i był zastępcą przewodniczącego Judenratu. Mieszkał przy ulicy Lwowskiej 4.

Getto robiło bardzo przygnębiające wrażenie. Bieda biła z każdego zaułka i wąskich uliczek. Ludzie byli wychudzeni, źle ubrani i przemykali się pod ścianami domów, tak jakby w każdej chwili groziło im śmiertelne niebezpieczeństwo. Wtedy jeszcze nie mogłem tego zrozumieć, ale bardzo szybko zrozumiałem.

Gdy tak szliśmy ulicami getta, zrobiło się nam bardzo ciężko na duchu. Kilka razy pytaliśmy o drogę i wkrótce znaleźliśmy dom przy Lwowskiej 4. Okazało się, że ta ulica była poza gettem i główna brama wejściowa była zawsze zamknięta, natomiast sam dom był w getcie i wchodziło się do niego małym bocznym wejściem z innej ulicy, przez wąską sień, na duże podwórko. Przy sieni wejściowej była jedna klatka schodowa,

a dalej jeszcze dwie, na które wchodziło się z podwórza. Była to duża, dwupiętrowa kamienica z wieloma lokatorami.

Rodzina Lehrhauptów mieszkała we własnym, przedwojennym mieszkaniu, na jednym z górnych pięter. Przyjęli nas bardzo sympatycznie. Byli bliskimi znajomymi pana Fessla i widać było, że mają dla niego dużo szacunku. Oddali nam jeden pokój i pani Lehrhauptowa przygotowała nam jakiś posiłek. Byliśmy bardzo głodni i zmęczeni.

Po jedzeniu poszliśmy zaraz spać – tato z mamą na wąskim łóżku, a ja i Luśka na kocach na podłodze. Spaliśmy jak zabici do wieczora, kiedy pani Lehrhauptowa i jej syn, może dwudziestoletni chłopak, obudzili nas na kolację. Nie pamiętam, jak się ten chłopak nazywał, ale od razu poczuliśmy, że chce nam pomóc. Kolacja była skromna: chleb cienko posmarowany margaryną, zupa i jakaś czarna lura, która miała być namiastką kawy. Dla Luśki pani Lehrhauptowa przyniosła z kuchni gorącą wodę z mlekiem.

Przy stole pan Lehrhaupt opowiedział nam, że getto istnieje dopiero dwa miesiące i że panuje w nim duża bieda. Oficjalnie wszyscy ludzie zdolni do pracy zatrudnieni są w szopach. Są to fabryki i warsztaty rzemieślnicze, które pracują dla Niemców i znajdują się poza gettem. Niestety, nie wiadomo, jak długo te szopy będą istnieć, bo nienawiść do Żydów staje się coraz większa i już teraz przybrała rozmiary kompletnego zwyrodnienia. Nikt nie wie, co tu się jeszcze stanie.

Ludzie w getcie są zastraszeni, panuje w nim terror. Prawie co dzień wchodzi tu oficerowie SS i gestapowcy, którzy strzelają do ludzi bez żadnego powodu. Dwaj najgorsi to Rommelman i Grunoff. Gdy zjawiają się w getcie, jest zawsze kilku zabitych. Czasami przychodzą ze swoimi kochankami. Jedną ręką trzymają je pod ramię, a drugą strzelają do ludzi jak do ptaków. Zrobili sobie zabawę z zabijania. Na skargi Gminy Żydowskiej odpowiadają, że w ciągu dnia getto ma być puste, bo wszyscy powinni być w pracy. W czerwcu 1942 były dwie akcje, wywieziono tysiące Żydów – krążą pogłoski, że do Bełżca na śmierć. Nie wiadomo, czy Niemcy znowu nie zaczną wysyłać ludzi z getta. Na razie żyje się dniem i za każdy dzień, który mija spokojnie, dziękuje się Bogu.

Były to tak przygnębiające wieści, że nie od razu w pełni do nas dotarły. Po prostu nasza świadomość wzbraniała się przed ich przyjęciem. Trudno nam było się pogodzić, że znaleźliśmy się w tak strasznym miejsku.

Pan Lehrhaupt wyjaśnił nam, że znajdujemy się w getcie nielegalnie i raczej niemożliwe będzie, żeby rodzice otrzymali przydział pracy w szopach. Musimy więc bardzo uważać i nie kręcić się po ulicach. Postara się jednak dla nas o kartki żywnościowe, żebyśmy nie zginęli z głodu. Poszuka też dla nas jakiegoś lokalu, gdzie będziemy mogli zamieszkać. Nie będzie to łatwe, bo getto jest bardzo przeludnione.

W sumie nasza sytuacja drastycznie się pogorszyła. W nocy nikt z nas, oprócz Luśki, nie mógł spać. Zazdrościłem jej beztronski i nieświadomości.

Przez pierwsze dni w ogóle nie wychodziliśmy z mieszkania Lehrhauptów. Gospodarze byli dla nas bardzo dobrzy, szczególnie ich syn starał się jak mógł – zdobył dla nas odzież i przyniósł Luśce szmacianą lalkę. Pan Lehrhaupt przebywał prawie cały dzień w Gminie Żydowskiej. Po kilku dniach powiedział nam, że ma na widoku jakiś pokój dla nas, ale potrwa to jeszcze jakiś czas i nie wiadomo, czy się uda, bo na ten pokój czeka długa kolejka ludzi.

Był początek września 1942. Uświadomiłem sobie, że dla normalnych chłopców w moim wieku wakacje się skończyły i idą już do szkoły. Ja trzy lata nie uczęszczałem do szkoły i teraz zatęskniłem za nią. Marzyłem, jak to będzie po wojnie, gdy znów zacznę do niej chodzić.

Pod koniec pierwszego tygodnia września dziwny niepokój zapanował w rodzinie Lehrhauptów. Okazało się, że ludzie z niektórych szopów otrzymali rozkaz pozostania w getcie i niestawiania się do pracy. Był to zły znak i obawiano się najgorszego. Wieczorem pan Lehrhaupt powiedział nam, że getto jest obstawione wojskiem i prawdopodobnie zacznie się nowa akcja.

W domu przy Lwowskiej 4 były przygotowane bunkry dla wszystkich, którzy nie chodzili do pracy. Teraz jednak zostało w domu dużo ludzi, którzy normalnie pracowali w szopach i nie wiadomo było, czy wszyscy się tam pomieścimy. Powiedziano nam, że gdy nadejdzie ta chwila, mamy schować się razem z sąsiadami z naszego piętra.

Nad ranem 10 września zbudzono nas i powiedziano, żebyśmy poszli się schować. Wyszliśmy na klatkę schodową, na której było już pełno ludzi. Część schodziła na dół, część wchodziła na górę. Jakiś pan podszedł do nas i spytał: „Wy jesteście od Lehrhaupta?”. Kiedy ojciec skinął głową, kazał nam iść za nim. Zaczęliśmy szybko schodzić ze schodów.



Na klatce schodowej panował półmrok, bo tylko jedna żarówka świeciła się na ostatnim piętrze. Ludzie potracali jeden drugiego. Słychać było stłumione krzyki. Dzieci płakały, wszyscy się spieszyli. Było dużo starszych ludzi, którym trudno było szybko posuwać się naprzód. Mama znowu niosła Luškę na rękach, chociaż ona już dawno mogła chodzić sama. Ojciec próbował pomóc, ale mama nie chciała mu jej oddać, tylko cały czas przyciskała ją do piersi, tak jakby to zapewniało jej ratunek.

Uderzył mnie jakiś ostry zapach. Nasz przewodnik wytłumaczył nam, że w całym domu rozlano lizol, środek dezynfekcyjny, bo jest obawa, że Niemcy przyjdą z psami, a przez lizol psy trąca węch.

Wyszliśmy na podwórze i przez jakąś inną sień zeszedliśmy do piwnicy. Była tam dziura w ziemi, w której ludzie kolejno znikali. Nas też tam wciągnięto. Znaleźliśmy się w wąskim i niskim miejscu pod piwnicą, gdzie panował zaduch. Siedziało tam już kilkanaście osób, wśród nich małe dzieci. Ich widok najbardziej utkwiał mi w pamięci, bo jeszcze nigdy nie widziałem tak przestraszonych dziecięcych twarzączek.

Po chwili z różnych stron rozległy się krzyki: „Już dość! Już dość! Nie można tu wpuszczać więcej ludzi, bo wszyscy się udusimy!”. Pomimo to zeszło jeszcze kilka osób i kłapa została zamknięta. Świeciła się tam lampa naftowa, ale zaraz rozległ się krzyk: „Zgasić lampę!”. Znaleźliśmy się w kompletnych ciemnościach. Była tam jakaś kłapa, którą trzeba było otworzyć, aby weszło powietrze, ale nikt nie wiedział, gdzie ona się znajduje. Ktoś powiedział, że na pewno jest otwarta, bo czuje lekki powiew.

Wreszcie zapanowała zupełna cisza. Jedyne od czasu do czasu zapłakało jakieś dziecko, ale matki zaraz je uspokajały. Luška chwyciła obie ma rączkami moją rękę i mocno ją ścisnęła. Tak siedzieliśmy, stłoczeni, opierając się jeden o drugiego, może dwie godziny. Coraz bardziej dawał się odczuć brak powietrza i wreszcie postanowiono uchylić trochę kłapę wejściową. Nie można było jednak tego uczynić, bo dla zamaskowania coś na niej stało. Po jakimś czasie kilka osób zemdlało.

Ja leżałem w letargu i miałem majaki. Wydawało mi się, że znów leżę chory w moim łóżku w Wieliczce. Szukałem tego światła, które wtedy widziałem, ale wokół mnie była tylko ciemność. Luška przestała mnie ścisnąć za rękę; co jakiś czas słyszałem jej szept: „Mamo, ja cię kocham”.

Nie wiem, jak długo to trwało, bo nie zdawałem sobie sprawy, co się ze mną dzieje.

Nagle ktoś koło mnie uderzył w klapę wejściową. Po pewnym czasie usłyszeliśmy nad nami jakieś szmery i klapa się otworzyła. Ktoś zapytał: „Co się tam z wami dzieje?”. Był to ordnungsdienst, żydowski policjant wyższej rangi, który mieszkał w tym domu, na drugim piętrze. Powiedział, gdzie jest klapa, którą można wpuścić powietrze i poradził, aby kilka osób wyszło ze schowka, to zaprowadzi ich na inne miejsce.

Nikt się nie zgłosił, tylko mama powiedziała, że my wychodzimy, bo dzieci są bliskie uduszenia. Ludzie pomogli nam wyjść, policjant też, po czym zamknął wejście do schowka i zsunął na klapę dwa kloce drewna. Kazał nam szybko iść za nim. Powiedział, że Niemcy jeszcze nie przyszli do tego domu, ale mogą się zjawić lada chwila.

Wprowadził nas do jakiegoś mieszkania i odsunął w jednym z pokoi komodę stojącą przy ścianie. Na ścianie była tapeta, podniósł ją na dole; pod nią, tuż przy samej podłodze, była niemal niewidoczna klapa, którą otworzył i ukazała się wąska szczelina. Kazał nam tam wejść. Wpełzliśmy do nowej kryjówki.

Znaleźliśmy się w niedużej komórcie, gdzie siedziało już sześć osób. Nie było miejsca dla nas wszystkich. Ja usiadłem na kolanach ojca, a Luśka na kolanach mamy. Było trochę światła, bo komórka ta miała małe okienko, no i – co najważniejsze – było dosyć powietrza. Moje halucynacje minęły i zacząłem oddychać swobodnie. Poczulem, że moja świadomość staje się coraz bardziej ostra, nawet ostrzejsza niż zwykle.

Obok mamy siedział jakiś pan w średnim wieku i co chwila wykrzykiwał twarz z bólu. Widząc pytające spojrzenia mojej mamy, powiedział szeptem: „To wrzód żołądka”. Z kilku stron ludzie zaczęli go upominać, też szeptem: „Sss..., cicho...”, a ja poczułem, że też mam bóle brzucha. Zacząłem się krzywić i mama się przestraszyła, pytała mnie wzrokiem, co się stało. Nie mogłem jej odpowiedzieć, bo nie chciałem, by ludzie się na mnie złościли.

Uratowała mnie Luśka. Słyszając znowu jej cichy szept: „Mamo, ja cię kocham”, uświadomiłem sobie, że i ja mamę strasznie kocham. Moje serce przepełniło się miłością do niej i w tym samym momencie bóle brzucha minęły. Co więcej, pan koło mnie też lepiej się poczuł i zaczął się do mnie uśmiechać.

Po jakimś czasie usłyszeliśmy szybkie kroki żołnierskich butów, głośne rozkazy i krzyki. Niemcy przeszli przez to mieszkanie, ale nie szukali w nim. Wszyscy siedzieliśmy bez ruchu, jak mumie. Stłumiliśmy nawet nasze oddechy. Nie trwało to długo i znów zapanowała kompletna cisza. Dopiero jakąś godzinę później pozwoliliśmy sobie na luksus zmiany pozycji.

W bunkrze mieliśmy chleb i wodę. Ktoś rozdzielał chleb, wlewał wodę do dwóch kubków. Piliśmy po kolei i żuliśmy chleb, bardziej dla zabicia czasu niż z głodu. Wszyscy byliśmy tak podnieceni, że nie odczuwaliśmy głodu. Tak przeszedł nam cały dzień. Wieczorem ktoś otworzył nasz schowek i powiedział, że można już wyjść, bo akcja się skończyła. Wyczołgaliśmy się ze schowka i zesłiliśmy na podwórze.

10 września 1942 roku w tarnowskim getcie zapamiętałem jako jeden z najstraszniejszych dni w moim życiu. Nie z powodu tego, co przeżyliśmy w ukryciu, ale tego, co się potem działo na podwórzu. A działy się tam dantejskie sceny. Ludzie powrócili z szopów i nie zastali swoich dzieci, matek, ojców, mężów, żon. Płakali i lamentowali, rzucali się z płaczem jeden drugiemu na szyję. Wszyscy zebrali się na podwórzu, dopytując się nawzajem, kto kogo stracił. Pytali tych, co się uratowali, jak się to stało i łaknęli choćby najmniejszego szczegółu o swoich bliskich, których zabrano.

Ktoś opowiadał, co działo się na placu Magdeburckim w centrum getta, gdzie zebrano wszystkich Żydów na wywiezienie. Byli tacy, co się uratowali. Przeprowadzono tam selekcję. Kobiety musiały oddać swoje dzieci, które kierowano do innego transportu. Tym, które nie chciały oddać dzieci, wrywano je siłą. Były wypadki, że rozwścieczeni Niemcy wrywali matkom niemowlęta i trzymając je za nóżki roztrzaskiwali ich głowy o ściany domów, na oczach matek. Kilka osób, które to widziało, opowiadało ze szczegółami.

Kobiety z rozpaczry rzucały się na ziemię, mężczyźni stali w grupach i głośno płakali. Jakaś kobieta krzyczała z wyciągniętymi do nieba rękami: „Mamo! Mamo! Dlaczego cię zabrali?! Dlaczego odeszłaś?! Oj..., moje życie się skończyło!”. Kobiety siedziały na ziemi i płakały z wykrzywionymi z bólu twarzami. Inni stali jak upiory, tak jakby potracili zmysły i nie wiedzieli, co się z nimi dzieje. Na podwórzu paliło się elektryczne światło,

które rzucało w różnych kierunkach długie cienie lamentujących ludzi. Tego obrazu nigdy nie zapomnę; jeśli człowiek chce sobie wyobrazić piekło, to tam, na tym podwórzu, ono było.

Nie pamiętam już dzisiaj, czy bunkier w piwnicy, w którym ukrywaliśmy się na początku, został odkryty, czy nie. W tym domu było wiele bunkrów, ale niektórzy nie chcieli się chować, tylko leżeli w kompletnej apatii na łóżkach, czekając na swój los. Wielu ludziom jeszcze przed akcją zabrakło sił do dalszej walki o przetrwanie. Stracili po prostu wolę życia. Wszyscy złapani przez Niemców musieli zejść na podwórze, a stamtąd poprowadzono ich na plac Magdeburgski. Później załadowano ich, jak było, do przygotowanych już pociągów.

Tego dnia, 10 września 1942, wywieziono z getta w Tarnowie 8 tysięcy ludzi do Bełżca, gdzie ich uśmiercono.

Nazajutrz mój ojciec dostał wysokiej gorączki i bolał go brzuch. Cały czas wymiotował. Wieczorem przyszedł lekarz, doktor Wachtel, zbadał go i powiedział, że ojciec ma ostrą dyzenterię i trzeba go koniecznie odizolować, bo to bardzo zaraźliwa choroba. Syn Lehrhauptów miał szczęśliwy pomysł, aby umieścić go na strychu tego domu. Matka powiedziała, że my pójdziemy z ojcem. Zrobiono tam dla niego legowisko z desek, na które położono jakiś stary, popękany materac. Dla nas rozłożono na podłodze koce. Strych był bardzo duży i wydawał mi się znacznie wygodniejszy niż ciasny pokój u Lehrhauptów.

Następnego dnia stan ojca pogorszył się, cały czas siedział na wiadrze. Mama powtarzała nam, abyśmy się tam nie zbliżali, bo w wiadrze było pełno krwi. Doktor Wachtel dał mamie wskazówki, jak przeprowadzić dezynfekcję ubrania ojca i przestrzegł, że musimy bardzo uważać na higienę. Słyszając jego słowa, ojciec, który leżał w gorączce, zaczął się śmiać, że mówić na tym strychu o higienie, to tak, jakby kominiarzowi powiedzieć, aby unikał sadzy. Lekarz pocieszył zatroskaną mamę, że tata na pewno wyzdrowieje, bo ma dobry humor.

Ojciec był chory przez dwa tygodnie. Raz było lepiej, raz gorzej, ale nie tracił nadziei i walcząc z chorobą jeszcze nas pocieszał. My wszyscy cały czas byliśmy przy nim, mama opiekowała się nim dzień i noc. Doktor Wachtel powiedział nam później, że nie rozumie, jak to się stało, iż się nie zaraziliśmy. Jedyny człowiek, który nas odwiedzał, oprócz lekarza,

to był syn Lehrhaupts. Przynosił nam żywność, wodę i wiadomości z getta. Wzruszał nas swoją uczynnością i dobrocią. Był to nadzwyczajny chłopiec, „szlachetna dusza” – jak mówili moi rodzice.

Pewnego dnia z radością w głosie oznajmił nam, że znalazł dla nas mieszkanie. Na podwórzu był stale zamknięty sklep, w którym zmagazynowano jakieś stare rzeczy. Syn Lehrhaupts sam wszystko uprzątnął, zacementował obite ściany i wymalował wapnem cały lokal. Włożył w to bardzo dużo pracy. Po wyzdrowieniu taty wprowadził nas tam z triumfem. Był to spory lokal, większy niż normalny pokój.

Ludzie przynieśli nam kilka mebli i różne rzeczy potrzebne do gospodarstwa. Byliśmy jako tako urządzeni, każdy miał swoje łóżko. Sklep nie miał okien, tylko drzwi, które zamykały się na spuszczaną z góry, blaszaną, pofalowaną roletę.

Tego dnia po raz pierwszy poszedłem przejść się po getcie, przyrzekając rodzicom, że gdy tylko zobaczę Niemców, natychmiast się schowam. Szedłem i rozglądałem się wokoło. Teraz już rozumiałem, dlaczego ludzie przemykali się jak spłoszone zwierzęta. Chodziłem po różnych biednych uliczkach i zaułkach, które robiły wrażenie, jakby ich mieszkańcy powymierali. Większość ludzi była w szopach, a reszta bała się wyjść na ulicę. Jednak życie było silniejsze, tu i ówdzie spotykałem kogoś, w tym także dzieci. Na jakimś podwórku grały nawet w szmacianą piłkę nożną.

Znów odczuwałem dużą samotność. Brakowało mi moich przyjaciół i myślałem o nich. Tak doszedłem do wysokiego, drewnianego płotu, który oddzielał getto od aryjskiej strony. Zauważyłem, że stoją tam ludzie i przez szpary rozmawiają z tymi po drugiej stronie. Zbliżyłem się i zobaczyłem, że ludzie z getta kupują chleb, masło i jarzyny. Wszystko odbywało się w pośpiechu; ciągle oglądali się na wszystkie strony. Jedną z desek można było uchylić i wsunąć przez nią produkty do getta.

Wiedziałem, że tego dnia mama nie miała dla nas chleba. Zastanawiałem się, jak to zrobić, aby dostać od nich bochenek. Ale wiedziałem, że bez pieniędzy nikt mi niczego nie da i nie ma sensu prosić, bo tylko mnie wyśmieją. Widziałem przecież, jak targowali się o każdy grosz. Zanotowałem sobie to miejsce w pamięci i poszedłem dalej. Kręciłem się bez celu i oglądałem getto. Wszystko było tam szare, zaniedbane i strasznie biedne.